

Krystyna Eichler

Michał Kobiela - Wilno, 1940 : Zygmunt Fijałkowski (1920-ok. 1983)

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 56, 338-339

2002/2003

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MICHAŁ KOBIELAK — WILNO, 1940

ZYGMUNT FIJAŁKOWSKI (1920–ok. 1983)

Nasza stołówka uchodząca przy ulicy Sierakowskiego stała się nie tylko ważnym punktem dożywiania, lecz również pewnego rodzaju klubem towarzyskim. Spotykało się tam ludzi wszelkiego kalibru, jednych bardzo interesujących, a innych mniej. Ponieważ jednak istniał wolny wybór, można było spędzić przyjemnie kilka chwil w czasie posiłku, lub też potem, bo wiele osób nie zaangażowanych w żadnej pracy lubiło posiedzieć po obiedzie przy miłej pogawędce. Dowiedziałam się, że jedna ze stołowniczek, pani Z. związana w jakiś sposób (nie pamiętam jaki) z teatrem, postanowiła wystawić sztukę teatralną werbując aktorów spośród bywalców stołówki. Podobno próby już miały miejsce. Pewnego dnia pani Z. przysiadła się do mnie przy stole z propozycją, abym wzięła udział w tej imprezie. Podziękowałam jej uprzejmie, twierdząc, że niestety Bóg poskąpił mi wszelkich talentów scenicznych. „— Tak — rzekła na to pani Z. — ale pani nazwisko Eichlerówna mówi samo za siebie i byłoby wspaniałą reklamą na afiszu sztuki”. Była to aluzja do Ireny Eichlerówny, popularnej i cenionej aktorki scen polskich przed wojną. Staralam się jakoś wymówić, ale pani Z. była natarczywa i wygadana, aż wreszcie uległam, a ona zadowolona wręczając mi egzemplarz sztuki poprosiła, abym nazajutrz przyszła wieczorem do lokalu stołówki, gdzie odbywały się próby dwa razy w tygodniu.

Po powrocie do domu postanowiłam przeczytać tekst owej sztuki. Tytuł brzmiał *Hiszpańska Mucha*, a po przeczytaniu kilku stron stwierdziłam, że nie była to sztuka, tylko „sztuczdyło”, głupia farsa tłumaczona z angielskiego. Pomyślałam sobie, że Mama, miłośniczka dramatów, wyrzuci mnie z domu za tę *Muchę*. Ale słowo się rzekło — następnego wieczoru udałam się na próbę o wyznaczonej godzinie.

Wszyscy aktorzy byli już obecni i ustawieni strategicznie na swoich miejscach. Ja nazywałam się Polly i pani Z. wskazała mi miejsce, gdzie miałam się ustawić. Akcja sztuki rozpoczynała się od tego, że Fred (główny amant) wchodzi do pokoju, a ja, Polly, podbiegam i rucam się mu na szyję. Fred wszedł do pokoju i stanął koło drzwi w postawie oczekującej, patrząc na mnie z półuśmiechem na twarzy. Był to młody człowiek o miłym wyglądzie, którego znałam z widzenia. Zauważyłam, że oczy miał niebieskie, jak dwa bławaty. „— Teraz, panno Krysiu, proszę do akcji!” — zawołała pani Z. klaszcząc w dłonie. Ha! — co miałam robić? Podeszłam do Freda i jednym ramieniem objęłam go za szyję. „— Nie! Nie! — zaprotestowała pani Z. — pani ma się rzucić mu na szyję. Zaraz to pani pokażę!” — i mówiąc to pani Z. stanęła w pewnej od Freda odległości i rozpedziwszy się z impetem zawisła mu na szyi, z wdziękiem podnosząc jedną nogę poniżej kolana, do góry. „— Proszę to tak spróbować” — zawołała do mnie. Rozpedziłam się więc z pewnej odległości i wpadłam na Freda, który się zaśmiewał, co dodało mi trochę odwagi. Pani Z. nie była jednak zadowolona i stwierdziła, że nad tą sceną trzeba będzie popracować. W dalszym toku akcji na szczęście moja rola nie miała wielkiego znaczenia.

Po próbie Fred podszedł do mnie i przedstawił mi się jako Michał Kobielał, oraz zaproponował, że odprowadzi mnie do domu, bo był już późny wieczór. Zgodziłam się chętnie, bo do ulicy Artyleryjskiej, za Zielonym Mostem, był to długi spacer. Wyszliśmy więc razem i powędrowali ciemnymi ulicami. Michał Kobielał był rozmowny i szybko stwierdziłam, że był to człowiek bardzo inteligentny, ciekawy i pełen wdzięku. Odprowadził mnie do bramy domu i pożegnał szarmancko.

Chodziłam teraz na próby i rzucałam się Fredowi na szyję, a coraz lepiej mi się to udawało. Po próbach wracałam do domu w towarzystwie Michała. Gdzieś w połowie drogi w trotuarze była duża dziura. Wtedy Michał brał mnie pod rękę i od tej dziury szliśmy razem blisko siebie, a szło się nam bardzo dobrze, gadając i opowiadając. Moglibyśmy tak iść kilka kilometrów dalej. Czasami spotykaliśmy się w stołówce, gdzie przychodziłam z Mamą i z bratem, a Michał siadał przy naszym stoliku.

Pewnego wieczoru, gdy przyszedłam na próbę, zastałam wszystkich zdenerwowanych i zmartwionych. Freda nie było. Jeden z panów „aktorów” poinformował mnie, że Michał Kobielał musiał nocą uciekać i ukryć się, był on bowiem członkiem Armii Krajowej i uprzedzono go, iż bolszewicy są na jego tropie.

Przeklęta wojna! Nie tylko zabija bombami i kulami z armat, dręczy i zamyka ludzi w więzieniach i obozach, ale również tnie wszelkie ludzkie więzy i uczucia! Zabija ludzi od wewnątrz. Straciłam całkowicie zainteresowanie sztuką *Hiszpańska Mucha*. Denerwowała mnie, bo wszystko przypominało mi Michała Kobielał. Pani Z. zaangażowała następnego Freda w osobie Boba Maliszewskiego, urodą odpowiadającego roli głównego amanta i poczciwego chłopaka, ale po kilku tygodniach został on aresztowany przez bolszewików. Po nim przyszedł Fred nr 3, z którym nie miałam okazji zamienić ani słowa. *Hiszpańskiej Muchy* nikt nie obejrzał na scenie, bowiem wkrótce większość „aktorów”, łącznie ze mną, pojechała w bydłęcych wagonach na Syberię.

A Michał Kobielał znikł bez śladu. W kilka dni po jego ucieczce zatrzymał mnie na ulicy jakiś nieznamy mężczyzna i spytał: „— Czy panna Eichlerówna?”. Kiwnęłam mu głową twierdząco a on rzekł: „— Przychodzę z polecenia Michała Kobielał. On musiał uciekać w nocy i nie mógł pani pożegnać. Prosił mnie, abym to zrobił w jego imieniu. A również poprosił mnie abym powiedziała pani, że jego nazwisko nie jest Kobielał, tylko Fijałkowski”. Stałam chwilę w milczeniu, wreszcie spytałam: „— Jak on ma na imię?”. Nieznajomy tego nie wiedział, uklonił się na pożegnanie i znikł szybko w tłumie przechodniów. A więc nazywa się Fijałkowski i ma modre oczy, to było wszystko co o nim teraz wiedziałam... Opowiedziałam to Mamie, a ona poinformowała mnie, że Michał Kobielał był ukrywającym się podporucznikiem 2. Pułku Ułanów Suwalskich, pułku gdzie spędziłam dzieciństwo.

W czasach wieloletnich moich wędrówek pytałam przygodnie poznanych ludzi, czy nie spotkali Fijałkowskiego o niebieskich oczach. Nikt o takim nie słyszał.

Dopiero 40 lat później, w Woodland Hills, gdzie stoi mój dom przy ulicy św. Michała, odnalazłam Michała Kobielał. Pewnego dnia otworzyłam świeżo otrzymany numer „Kultury” paryskiej i zajrzałam do rubryki „Wydarzenia Miesiąca”. Znalazłam tam wzmiankę o śmierci Zygmunta Fijałkowskiego — alias George’a Bereday’a, byłego oficera kawalerii polskiej, uczestnika walk wojsk polskich na zachodzie, kawalera *Virtuti Militari*, a następnie jako George Bereday, znanego naukowca w USA. Chciałam wiedzieć coś więcej. Napisałam list do mego starego przyjaciela i kolegi z czasów studenckich, który był socjologiem i wykładał na uniwersytecie w Kanadzie. On z pewnością mógł znaleźć więcej informacji.

Dostałam odpowiedź bardzo szybko. Była to kopia z leksykonu *Who is Who in the East*:

BEREDAY GEORGE, ZYGMUNT FIJAŁKOWSKI oświatowiec, ur. w Warszawie (Polska) dn. 15 lipca, 1920 r. Służył w Polskiej Kawalerii 1938–42, Brytyjski Pułk Spadochronowy 1942–45, dekorowany Polskim Krzyżem *Virtuti Militari* 1944, Uniwersytet w Oxfordzie uk. 1950, Harvard University U.S.A. uk. 1953. Prof. na Columbia University 1955–59, Exchange prof. Moskwa, 1961, Tokyo 1962.

Następuje lista jego prac naukowych i członkostwa instytucji naukowych.

Dalej są informacje bardziej osobiste, a wszystko jest tam angielskie! On sam George Bereday, żona, sądząc po nazwisku, Amerykanka i dzieci o imionach angielskich. Ale nie! Nie wszystko jest angielskie! Jego najstarsza córka Cornelia drugie imię ma Krystyna — pisane polską pisownią...

Z zaświatów wionął ku mnie świetlany strumień ciepła. Michał Kobielał żegnał mnie po raz ostatni.

Za oknem mojej pracowni ognista kula zachodzącego słońca skryła się za ciemnym górskim konturem.

Krystyna Eichler (Stany Zjednoczone)